

dr Tomasz Kozłowski
Katedra Edukacji i Nowych Mediów
Wydział Nauk Społecznych
Collegium Da Vinci, Poznań

Smutny lans

Głośno ostatnio było o ocknięciu się Hollywood i świętym oburzeniu, że w Mieście Aniołów molestują na potęgę. Tajemnica poliszynela nagle okazała się newsem trudnym do uwierzenia. I okazją do przeżycia katharsis w świetle jupiterów.

Rozedrganie I

Byłem molestowany.

W zasadzie mogę chyba dopisać: #metoo

Tak sądzę.

W pewnych kategoriach.

Jak wielu, przeżywałem dawno temu etap świętego dziecka. Niedługo po komunii, oczarowany wizją pójścia do nieba, chodziłem co niedziela do kościoła. Od czasu do czasu zaczepiał mnie jeden ksiądz. Zapamiętałem, że był młody, sympatyczny i bardzo dokładnie ogolony. I pytał czy bym nie zechciał być ministrantem. Schlebiały mi te propozycje. Czuję się jak protestant, któremu dobrze idzie w interesach: widocznie Pan Bóg mnie lubi. Ksiądz był tak niezmordowany w nakłanianiu mnie do posługi przy ołtarzu, że pewnego razu, przy jakiejś okazji, podszedł do moich rodziców z osobistą interwencją i aksamitnym głosem prosił, by umożliwili mu duchową opiekę nade mną. Ci, z pewną rezerwą, grzecznie odmówili. Być może zagrało im przezornie w mózgu „bo to się zwykle tak zaczyna”? Krótka piłka. Nie poszedłem na ministranta. Nie, żebym tego żałował, jako że ze świętego dziecka przekształciłem się w dziecko nieświęte. Ale dopiero po latach dotarło do mnie, że w świetle obecnych „standardów” zabiegi młodego księdza wypełniłyby dziś definicję *n i e z d r o w y c h u m i z g ó w*. I że wielu zaświadczyłoby, że facet prawdopodobnie miał ochotę osobiście ubierać mnie w ministrancką komżę i że jego planowany dotyk powinien już teraz boleć mnie całe życie.

Jakoś jeszcze nie boli.

Rozedrganie II

Coś z innej (choć nie całkiem) beczki. W Japonii nawet 43% mężczyzn do 34 roku życia nie uprawiało seksu. Nawet 70% mężczyzn w tym przedziale wiekowym nie jest w żadnym związku. Z jakichś powodów Japonia przestała czerpać ze współżycia naturalną radość. Co więcej, sfera seksu stała się ledwie wymianą płynów ustrojowych. Mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni sferę tę traktują z rezerwą, by nie powiedzieć z obrzydzeniem. Wiśnia najwyraźniej przekwitła. Rozmnażanie staje się koniecznością, ale nie prowadzi do niego nic szczególnie przyjemnego.

Niemniej, schizofrenia Japończyków przejawia się w rosnącej fascynacji drogimi lalkami do złudzenia przypominającymi ludzi. Dokładniej – chodzi o manekiny-kobiety, których popularność ma miejsce oczywiście wśród mężczyzn. Taki prawie-android posiada powłokę do złudzenia przypominającą skórę, włosy naturalne w dotyku, poraża również subtelnym spojrzeniem i perlстым uśmiechem. Co więcej, wcale nie służy wyłącznie do zaspokajania potrzeb seksualnych, choć wszak i w tym celu posiada stosowne funkcjonalności. Panowie najwyraźniej w swoich podopiecznych się zakochują: traktują je jak życiowe partnerki. Kupują im prezenty, zabierają na zakupy... Nie koniec na tym. Bywa, że stateczni japońscy mężowie porzucają swoje żony właśnie z miłości do

ich sztucznych substytutów. Ich wieloletnie życiowe partnerki zdają się akceptować ów fakt z isticie dalekowschodnim dystansem. To bodaj w materiale Martyny Wojciechowskiej zilustrowany był przypadek żony, która ze stoickim spokojem zaakceptowała nową miłość męża. Z niekłamanym zainteresowaniem oglądała fotografie przywiezione z zagranicznych wojaży, zauważyła nawet, że świeżo upieczeni kochankowie mieli ładną pogodę. Czy wciąż jest to koloryt różnorodności kulturowej, czy jednak masowa patologia? Czy należałoby podobne zachowania traktować jak miejscową wariację na temat, czy może jednak zasugerować wizytę u specjalisty? Pies, który koncentrowałby swoją uwagę na martwej lub sztucznej suce raczej zostałby uznany za e g z e m p l a r z n i e n o r m a l n y. A jednak nikt nie bije w gong na alarm, co najwyżej pokiwa głową z mieszkanką politowania i dobrotliwego zadziwienia.

Historia uczy, że zmierzch imperiów zazwyczaj poprzedzają tematy zastępcze. Na ogół jest to koncentracja na zabawie, seksie i jedzeniu. Innymi słowy, upadek, niczym w Lucasowskiej sadze, poprzedza huragan braw. A jeśli nie jest to upadek, to temat zastępczy na ogół przykrywa mocno skorodowaną warstwę. Nie mogę uwolnić się od wrażenia, że podobny przypadek Zachód przerabia przy okazji głośnej akcji skrytej pod wymownym hashtagiem *#metoo*. Raptem Hollywood budzi się z dziwnego letargu i niesie się skowyt, który mówi: „i mnie molestowano!”. I do teraz – a piszę to z końcem listopada – nie jestem pewien, czy mamy do czynienia z rzeczywistym problemem, czy może z grą pozorów, która skrywa pod swoją powierzchnią jakiś dwubiegunowy paradoks.

Lutek na leżance

Nie odniosłem wrażenia, by akcja *#metoo* powiedziała nam o kulisach (jakiego bądź) przemysłu, nie tylko przemysłu pop, cokolwiek nowego. Zgodnie z nowym, niedotykałskim paradygmatem, molestowany był również Lutek Danielak, tytułowy „Wodzirej” od Falka. W swych wysiłkach, by dochrapać się prowadzenia wymarzonej imprezy i usunięcia po drodze kilku bruźdzących zawalidróg, robi wszystko, w tym również idzie do łóżka z jedną z bohaterek, wtajemniczoną w esencjonalne gierki. „No chodź!”, słyszy w pewnym momencie biedny, zmanipulowany Lutek od nieszczęśliwie ponętnej, nadgryzionej już zębem czasu matrony. I nasz Lutek idzie. Ale przecież nie o molestowaniu jest to film. Być może dlatego Lutek nie przeżywa traumy. Film nie ma też sequela, w którym bohater wypłakuje się terapeutce. Tematu po prostu nie ma.

Być może Hollywood potrzebuje terapii szokowej w postaci o 50 lat spóźnionej powtórki z Falka? Czy może jednak cała sprawa trąci od początku hipokryzją a długa lista pokrzywdzonych od dawna zalecza swoją traumę kompotem z zielonych? Falk zastosował tutaj inną wykładnię. Zamiast załamywać ręce nad tragedią Lutka, przyjął starożytną, acz wciąż aktualną zasadę: *volenti non fit iniuria* – chcącemu nie dzieje się krzywda. O ile mi wiadomo, zdecydowana większość zarzutów, które nagle wybiły na powierzchnię i polały się w stronę niesławnego producenta z Miasta Aniołów, dotyczy głównie molestowania, nie zaś gwałtu. I płynie od strony nie anonimowych, a rozpoznawanych twarzy. Logika? Spójność?

Rozedrganie III

Ale i my mamy swoje nerwowe i niejednoznaczne drgawki. W połowie listopada można było natrafić na inne, symptomatyczne nowiny. Otóż w Polsce otworzono pierwszy przybytek, gdzie będzie można zaznać za pieniądze ludzkiego dotyku. Tyle że pozbawionego podtekstu erotycznego. Ale kto to wie. Bo skoro byle słowo czy gest może być molestowaniem, to co dopiero takie opodatkowane ocieractwo. Mowa oczywiście o miejscu (którego nazwy z przyczyn marketingowych nie wspomnę), gdzie za opłatą

będzie można się poprzytulać. Znak czasów – nawet z drugim dnem. Po pierwsze, robi się po ludzku smutno, jeśli z wywiadów z twórcami podobnych miejsc wyziera istnienie nowej niszy: ludzie, nawet na co dzień funkcjonujący w rodzinach, potrzebują bliskości. Nie mają innych możliwości na obniżenie stresu, jak poprzytulać się do obcych za pieniądze. Po drugie, „przitulanki” – chyba można użyć takiego określenia? – twierdzą, że erekcja wśród klientów wcale nie należy do rzadkości, ale „jeśli nie przekraczają ustalonych granic, to OK”.

Tak czy inaczej, przytulanie obcych nagle oficjalnie odkleiło się od podtekstu seksualnego. Teoretycznie nie ma to nic wspólnego z bliskością podszytą erotyzmem. A może jednak ma? Formalnie chodzi tu ma o zdrową bliskość (choć mimo wszystko panowie wolą przytulać się do pań; ze mną jest analogicznie: rzadko mam okazję być profesjonalnie masowany, ale jeśli już mi się przytrafi, to mając do wyboru masażystę lub masażystkę – wybieram masażystkę. Obsługa takich centrów nie jest zdziwiona. Masażystka też). Podsumujmy: mamy się poczuć lepiej od dotykania się z inną osobą. Ma nam się wydzielić oksytocyna, dopamina i serotonina – cały wachlarz neurochemikaliów, który tryska co prawda w różnych stężeniach podczas różnych czynności, choćby wcinania czekolady, ale – umówmy się – również w trakcie i po stosunku.

Psycholog Tomasz Witkowski w bezpardonowych słowach odniósł się do psychobiznesu nazywając terapeutów prostytutkami przyjaźni. W swej książce pt. „Zakazana psychologia” poparł swój obrazoburczy dla środowiska wywód interesującymi wynikami badań, z których wynika, że nie ma żadnego znaczenia, czy psychoterapeuta „leczy” w nurcie behawioralnym, behawioralno-poznawczym, psychoanalitycznym, psychodynamicznym, systemowym... Od Odry po Bug podniósł się ryk, Witkowskiego towarzystwo przekląło, bo przecież nie o to chodzi! Na kołek możemy zatem odwieść fakt płynący wprost z badań, że klientowi robi dobrze sama rozmowa, poprzybywanie z drugim człowiekiem, a jeszcze lepsze rezultaty nierzadko uzyskuje się po prostu w rozmowie z przyjacielem. Puenta, jak by nie było, jest banalna: regularne zwieranie się zaufanej osobie to prawdziwy luksus. Cóż, okazuje się, że również rzadki jak regularne przytulanie. Psychoterapeuci – piszę serio – potrafią robić świetną robotę. Pytanie czy robią to jako doskonali fachowcy czy doskonale substytuty przyjaciół? Moim zdaniem to drugie, mniejsza o intencje, mniejsza o świadomość. Ale skoro jesteśmy przy „ prostytutkach przyjaźni”, może należałoby również mówić o prostytutkach bliskości? Przytulanie za pieniądze jako psychoterapia bez gadania, swoisty soft-burdel i atawistyczna neurotresa dla niedopieczonych zwierzątek w jednym.

Kiedy „nie” oznacza „tak”?

Schizofrenia kultury Zachodu na tle zachowań seksualnych widoczna jest w sposób wręcz podręcznikowy. Tych kilka wcześniejszych przykładów można potraktować jako podziwu godną niekonsekwencję. Zainteresowanie księdza jako przedsmak gwałtu vs hołubienie lalki traktowane jako norma, względnie miejscowy koloryt. Całkowicie akceptowane przytulanie się za pieniądze vs wzgardzane zdobywanie sławy przez łóżko producenta. Nic dziwnego, że Zachód ma problem ze ścisłym zdefiniowaniem molestowania.

Problem z pewnością nie jest wymyślony. Bycie molestowanym nie jest fajne. Jednak lament, jaki wznosi się pod niebiosa przy tej okazji jest dla mnie co najmniej zastanawiający. Weźmy na przysłowiowy warsztat przypadek ochroniarza afroamerykańskiej diwy Mariah Carey. Rosły pan rasy białej zwierzył się niedawno, że był molestowany przez swoją chlebodawczynię, dzięki czemu mógł dopisać swoje nazwisko

do długiego łańcuszka spod znaku #metoo. Ów mężczyzna opowiadał historię, jak to Carey zawołała go do siebie do pokoju i otworzyła mu w skąpym szlafrocuku, w pozie raczej niedwuznacznej. Wycofał się, a w ślad za nim wylała się rzeka oskarżeń i wyzwisk, z „nazistą” i „rasistą” na czele. Molestowanie jak się patrzy? Zdecydowanie!

Jednak nauka ma tutaj do dodania ważne *post scriptum*.

Przede wszystkim, wspomniany ochroniarz reprezentuje bardzo rzadki przypadek mężczyzny, który z podobnego powodu rzeczywiście cierpi, a przynajmniej tak sugeruje. Jak wskazują badania, mężczyźni są daleko bardziej odporni na traumę związaną z przemocą seksualną ze strony kobiet, aniżeli kobiety ze strony mężczyzn. Dla większości mężczyzn bycie zgwałconym przez kobietę nie jest po prostu aż tak przykrym doświadczeniem. Sam zresztą przekonywałem się o tym pośrednio na zajęciach. Omawiając problematykę doboru płciowego wśród ludzi i – co za tym idzie – niedostosowania strategii męskiej i żeńskiej, siłą rzeczy dotykałem też tematu gwałtu (jako przejawu takiego niedostosowania). Gdy poruszałem ten temat, studentki zamierały z niepokojem, widać było wyraźny dyskomfort na samą myśl, że mogłyby zostać zgwałcone. Ilekroć jednak kazałem się nad tym samym tematem zastanowić panom, okazywało się, że ewentualność bycia zgwałconym przez kobietę przyoblekała się na ich twarzach w błędzący, nieco zakłopotany uśmiezek. „Ostatecznie, czemu nie?” W traumę ochroniarza choćby z tego powodu trudno mi uwierzyć.

Po drugie, zapominamy chyba, że głównie męska (nie bójmy się tego słowa) skłonność do molestowania, wyraźnie wyższa niż u kobiet, w świetle nauk ewolucyjnych obnaża prostą prawdę. Skoro mężczyźni tak postępują, najwyraźniej w zamierzczłej przeszłości podobne praktyki przynosiły sukces. Podobnie jest z męską interpretacją kobiecego uśmiechu. Większość panów zupełnie neutralny kobiecy uśmiech potraktuje jednoznacznie jako zaproszenie do flirtu, niemal gotowość do seksu, choć druga strona absolutnie nie musiała mieć takiego zamiaru. Panie z kolei nie mają takiej skłonności, a przynajmniej jest ona daleko rzadsza. Widząc uśmiechniętego mężczyznę nie traktują tego natychmiast jako próby uwiedzenia. I znów wraca pytanie: skąd u mężczyzn taka nadzwyczajna skłonność? Odpowiedź jest analogiczna: najwyraźniej wcześniej podobne „generalizacje” zdawały egzamin i udawało się zapoczątkować zaloty, nawet jeśli druga strona nie miała z początku takiego zamiaru. Badania wskazują, że nawet 17% kobiet jest skłonnych odbyć stosunek z nieznanym. Powiedzą wcześniej co prawda, że „to zależy”, ale jeśli pan się spodoba, to i owszem. To niecała jedna piąta żeńskiej populacji. I dawno temu ta jedna piąta wystarczyła, by „zepsuć” pulę i przestawić męską percepcję na tryb panseksualny. Logika doboru naturalnego pod tym względem jest nieubłagana. Innymi słowy – molestujemy, bo w etogramie naszego gatunku molestowanie jest niejako wpisane z definicji. Oczywiście, w naturę wpisane są również zabójstwa i torturowanie współplemieńców, co nie oznacza, że są one moralnie usprawiedliwione. Pytanie jednak, gdzie przebiega granica pomiędzy uzasadnionym kulturowym obostrzeniem, a zwykłą przesadą, nadinterpretacją? Pytanie również, które zachowania należy uznać za normę?

Żeby sprawie nadać jeszcze bardziej pieprznego wydźwięku i wbić kij w feministyczne mrowisko: przy okazji omawiania tematu doboru u ludzi, żeńska część mojej studenckiej publiczności ostatecznie przyznała – samowolnie i bez skrępowania – że „nie” czasem oznacza „tak”.

Eksploatacja traumy

Niedawno spotkałem się z opinią pewnej psycholog, zdaniem której narzekanie jest łatwe, choć nie przynosi absolutnie żadnej korzyści. Dlaczego Polacy narzekają? Bo

gwarantuje to chwilowe choć skupienie na sobie uwagi otoczenia. „Narzekacze” mogą spodziewać się odrobiny litości, współczucia, załamania rąk, udawanej empatii, a nawet poczucia pewnej bliskości. Nie inaczej przecież dokonują się zakładowe rytuały, podczas których to, w trakcie przerwy na kawę, poszczególne działy narzekają na szefów, na społeczeństwo, na ustrój, na porę roku, i tak dalej... Ponarzekać jest ostatnio modnie, więcej, narzekanie jest normą, w świetle przyjętych standardów. Narzekanie jako forma lansu? Czy naprawdę t a k t r u d n o to sobie wyobrazić? A jak jest z #metoo? Czy można się z pomocą owego *hashtagu* odpowiednio promować? Oskarżenia o lans padają przecież w zasadzie w każdej sferze. Skoro pojawiały się zarzuty o lans z pomocą choroby, lans za sprawą czyjejs śmierci, kalectwa, anoreksji etc. dlaczego nie można by podlansować się z pomocą molestowania?

Bardzo przemawia do mnie koncepcja, w myśl której w społeczeństwie konsumpcyjnym wszystko jest komunikatem. K a ż d a decyzja w gruncie rzeczy pozostaje wyborem *stricte* konsumenckim, wiąże się bowiem z określoną strategią nabywania, ale i również z całym repertuarem postrzegania i komunikowania (sprzedawania) naszej osoby. Mówi o nas (a więc i reklamuje nas) dosłownie wszystko: metraż mieszkania, meble w łazience, najnowszy t-shirt, samochód i partner w określonym standardzie. Jesteśmy – z natury – wyjątkowo mocno przeczulenii na punkcie komunikatu, który wysyłamy wprost do otoczenia. Z tych też powodów niezmiernie trudno mi jest – jako socjologowi – uwierzyć w zupełnie platoniczny charakter podobnych akcji, w szczególności jeśli nabierają one wymiaru masowego.

Mechanizmy stojące za tą akcją trudno rozważać w innych kategoriach, aniżeli zwyczajnej mody. Jeśli uznamy, że człowiek jest w stanie określać swoje miejsce w strukturze grupy na podstawie czasem zupełnie przypadkowo określonych kryteriów (studentów dzielę np. na grupy Ełojów i Morloków – jak w prozie Heberta G. Wellesa – i obserwuję jak na bazie podobnych abstrakcji zupełnie naturalnie startuje *segregacja*), nic dziwnego, że kryterium takim może stać się również (potencjalna) trauma. Dowolny czynnik różnicujący może stać się podłożem konkretnych procesów grupowych, z socjologicznego punktu widzenia, nie ma w tym żadnej nowości. Rzekłbym nawet, że słowa Ewangelii, według których „ostatni będą pierwszymi” (oraz cała wyliczanka, która podąża w ślad za tymi słowami), również hołduje tej właśnie zasadzie. Z tej perspektywy cierpienie uszlachetniało od zawsze. Jeśli więc „trauma” zakomunikowana jest przez kogoś, kto może nie jest autorytetem, ale liderem opinii, kimś, kogo pokolenie Y uznaje za tzw. *influencera* – proces zwyczajnie nabierze rozpędu i nie będzie w tym nic nadzwyczajnego. Dumę i dostojeństwo można było dostrzec w twarzach ascetów dużo wcześniej, nie trzeba było czekać aż do XXI wieku. Cierpienie nadawało ich życiu stosownej, nobliwej tonacji, nieosiągalnej dla maluczkich, choć przez nich upragnionej. Pławienie się we własnym cierpieniu naprawdę nie jest wynalazkiem ostatnich dekad. Niemniej kultura konsumpcji nadaje temu elementowi dodatkowy blask: temat staje się w jakimś stopniu konsumowalny, jest on *trendem* do z a g o s p o d a r o w a n i a. Można go w y e k s p l o a t o w a ć.

Gwałt wydrenowany

Eksploatacyjny komponent kultury konsumpcjonizmu, w moim odczuciu, jak dotąd nie doczekał się jeszcze stosownego omówienia i podkreślenia. Teoretycznie nie od dziś wiadomo, że każdy temat daje się w stosowny sposób spieniężyć, sprzedać, czy jak się ostatnio modnie utarło „zmonetyzować”. Nie dość jednak mówi się o totalnym drenowaniu, ogryzaniu potencjału marketingowego do gołej kości. Wyrazem takich tendencji rynkowych jest choćby zjawisko świetnie opisane przez Henry’ego Jenkinsa:

dzieło transmedialne. Sprzedawana/promowana opowieść uruchamiana jest na wielu równorzędnych platformach. Jest filmem, książką, grą, modą (ostatnio w księgarni natknąłem się na podręcznik, który według zapewnień wydawcy jest „najpopularniejszą książką w całym Hogwarcie” – tym sposobem dzieło transmedialne przekroczyło nie tylko granice poszczególnych mediów, ale i granice wymiarów). Wyraża się to również w tendencji do tworzenia kolejnych odsłon tego samego. Sequele, prequele, kontynuacje. Niepodobna wręcz wyobrazić sobie sytuacji, gdy dochodowy motyw „zamyka się” wyłącznie w jednej odsłonie. Stąd większość oferty popkulturalnej, od reality-shows, poprzez talk-shows, nowele paradokumentalne, aż po wysokobudżetowe seriale odmierzana jest sezonami. W miarę drenowania rozrasta się również apetyt odbiorcy. Trudno jest już dziś mówić o ulubionej scenie, czy nawet ulubionym odcinku danego serialu. Wśród młodego pokolenia obserwuję to zjawisko cyklicznie, dostrzegam w rozmowach z nimi. Młodzi miast tego mają ulubione sezony. Gdy chodzi o konsumpcję popkultury, połyka coraz większe porcje: odmierza czas w dobach i tygodniach, nie w kwadransach, nawet nie w godzinach.

Odnoszę wrażenie, że i temat molestowania jest obecnie stosownie drenowany. Może trudno nadać mu wymiar czysto marketingowy – o ile mi wiadomo, nie ma jeszcze gadżetów, które w jakiś sposób popularyzowałyby temat a jednocześnie pozwalały komuś zarobić. Jednak wartość w obszarze samego public relations jest już całkiem wymierna. To jak masochistyczny CSR (*corporate social responsibility* – społeczna odpowiedzialność biznesu) – na mojej krzywdzie pielęgnuję społeczną refleksję, jednocześnie budując swój wizerunek. Dopisywanie swojego nazwiska do całej akcji z pewnością może służyć pewnego rodzaju pozycjonowaniu w społecznej strukturze. Nie jest to tylko komunikat w rodzaju „skrzywdzono mnie”. Jest to raczej wiadomość o podwyższonej świadomości jednostki. Podwyższona świadomość i akceptacja przeszłości, a jednocześnie odwaga, by wypowiedzieć się w sprawie, na zasadzie „co mnie nie zabije, to mnie wzmocni”. Brzmi to szczytnie, ale czy jest takie w istocie? Możliwe, że temat po prostu jest drenowany na zasadzie efektu Wertera. Problem z pewnością istnieje, a dotykając go siłą rzeczy poruszamy się po obszarach rezerwowanych dla najstarszych profesji i atawizmów gatunku, jednak trudno nie odnieść wrażenia, że to cierpienie, komunikowane w ten sposób, ma właśnie za zadanie u s z l a c h e t n i ć, poniekąd na zasadzie widowiskowego niszczenia mienia: mogę ponieść dużą szkodę, wyjdę z tego silniejszy, a cała reszta powinna ze mnie brać przykład, bo mój ból potrafię przekuć na oczyszczające doświadczenie.

Jeśli komuś taki sposób myślenia pomaga by uporać się z traumą – nie widzę przeszkód, jednak teoria psychologii społecznej i pozytywnej podpowiada, że przepracowywanie pewnych tematów powinno wychodzić z wewnątrz, aniżeli być inspirowane z zewnątrz i na zewnątrz komunikowane, czy wręcz k o n s u m o w a n e. Odnoszę wrażenie, że uczestniczenie w jakimś społecznym trendzie, zjawisku, jest równoznaczne z dyskomfortem związanym z niemożnością poinformowania o tym fakcie, zupełnie tak, jakby dana decyzja podejmowana była jednak z uwagi na potencjalną reakcję otoczenia. To brak poszanowania dla jednej z czołowych cnót w moralności Dalekiego Wschodu: odmowy bycia kimś ważnym. Trening tej cnoty polega choćby na odzywaniu się wyłącznie gdy spełnione są równocześnie dwa warunki: mam coś istotnego do powiedzenia w danej sprawie – to raz – oraz ktoś wyraźnie spytał mnie o zdanie – to dwa. Ekshibicjonizm w wersji pop dawno już przestał respektować tę zasadę i o ile nie twierdzą, że uczestnicy akcji spod znaku #metoo nie mają nic ciekawego do powiedzenia, to z pewnością nie są o zdanie pytani, raczej sami rwą się do odpowiedzi i oczyszczającego *katharsis* w świetle jupiterów. Pobrzmiwa mi w tym jakiś paradoks,

który doskonale oddał swego czasu bodaj któryś ze stoików: małe troski krzyczą, dopiero te wielkie odbierają głos.